

ROZMAITOŚCI.

W Sobotę

N^{ro}. 117.

12. Października 1822.

U s t ę p

z nowego romansu Adama Kasperowskiego iesz-
cze w rękopismie:

Cierpienia Albina,
dzieła odpowiednego „Żalom Elwiry».

Rozpływała się dusza moja w rozkoszy. — Niesiony prawie na skrzydłach dźwięcznego echa arfy i głosu Elwiry, czułem rozkosz, która mój umysł w niepamięć przeszłości porывała. Cały zdumiony straciłem pojęcie, myśl mnie odstępiała, a w zachwyconych zmysłach iéy precudowném śpiewaniem, życie na chwilkę ustało. Z piérwszym dźwiękiem s්රébrnego głosu arfy, powieki moie nie ruszały się; serce bić przestało; zimna dreszcz, przeszła mnie całego, a rumieniec pomieszania występuiąc na lica, wydawał moje odurzenie. Z daleka jeszcze s්රyszac Elwirę grającą, postępowałem naywolniejszym krokiem, ażeby żadnym szelestem nie przerwać iéy samotności i téy lubéy melodyi, coby wiecznie us්රionych, obudzić zdołała. Elwira w białéy sukni do kwiatów wiosiennych podobna, siedziała naprzeciw okna przy tym samym stoliku, gdzie niedawno rysuiąc zastałem. Włosy rozpuszczone spadając poramionach do arfy lekko wyciągniętych, przykrywały niekiedy tę białość, przed którą lilie iéy lica rumienić się musiały. Ta kibié nadobna, ta noga kształtnie trzymająca arfę, i te przesłiczne palce igrające po strónach, przedziwną składały postać. Oczy iéy spieraiać się o piękność z po-

godnym błękitem nieba, s්රzą tęsknoty b්රyszczają. W caféy twarzy malowała się duszy niespokoyność, a smutne piosnki iéklwym przerywane głosem, wydawały kwilące się duszy uczucie. Żalila się, wzdychała i swoje westchnienia do tronu naywyższyć Istności wznosiła. — O Elwirol ty zanadto wczesnie napełniłaś goryczą czarę życia twóiego. Patrząc na usta twoie, z których boleś i smutek farbę s්රkńacéy rozkoszy zdieły, s්රyszac twóy głos żałosny i te czułe westchnienia, które z iékiem melancholicznych tonów podnosiły się, iakieżeby duszy nie tknęły? Któżby razem z tobą płacząc, życia nie pragnał podzielić. — O! ty swoią zachwycaiającą melodią otworzyłaś podwoie wszystkich zmysłów, Ocean rozkoszy do duszy przelałaś. Ty napełniłaś w koło powietrze nigdy niewyczerpaną przyiemnością dźwięku. Wiatr ustał szeleścić po gałęziach, bo twoie pienia roznosząc po s්රwiecie, niebo i ziemię do uwagi s්රkónił. — Patrzyłem na całe przyrodzenie twoiém pieniem obudzone, lecz nie widziałem tylko przedmiot dla siebie naymilszy — Ciebie; — Przeniknione serce twoią melodią, zmysły moie do niepoietności zniżyło i wyobrazenie wszelkich życzeń stawiało, czułem się wtenczas nayszczęśliwszym, bo w tém omamieniu życia się wyrzekałem, byle twóy obraz i ta melodia razem zemną zstąpiła do grobu. Niestety — przerwałem uniesieniem zdieły, te pienia, i pokazuiąc się Elwirze, straciłem ją z oczów moich. Odbiegła arfy, iakby zawstydzona

))

swoich żałosnych pieśni — poszła ży ukryć przedemną. Droga Elwiro! Oparty na twoim stoliku obok téj arfy, co mnie taką słydyczą przejmowała, zadumałem się nad tém wrażeniem, iakie muzyka na czułych sercach sprawić iest zdolna. Muzyka, ten przyjaciel strapiionych, towarzyszy najszczerzy serca czufego, wpływa niepojętą władzą na duszę człowieka, rozrywa smutek, ale i ciężar iego podwaja. Śmiałość obudza i do walki bohaterów zachęca, ale i swoim rodzajem czuféy melodyi broń z ręku wytrąca. Serce tęsknotą dręczone, szuka ulgi w téj harmonii, która wyobraźność łącząc z uczuciem, w tonach wybornych ię głosi, i słuchaczów zajmując do udziału swoiéy lubości przynęca.

Człowiek zaięty czufą melodyją, taką się w ten czas przejmując lubością, że o wszystkiém zapomina, co go otacza; podwaja duszy własności, wznosi się do wysokich myśli, i razem głęboką przejmując się filozofią. O! taki, w czuféy smętności cierpiącego czuje niedolę, wszystko rad poświęca, godnościami wzgardza, do prawych czynów swe serce gotuje, a w téj ułudzie przyjemnéy, wiecznego pożąda bytu. Niepodobna w ten czas rozczulonego muzyką do podejścia lub podfósci namówić, bo iego umysł przyjemnością tonów uszlachetniony, żadnymby się nie splamił czynem. W tém uroczém duszy zachwyceniu, człowiek życia tajemnice odkrywa, siebie niżéy od wszystkich ceni, a w hymnach nabożnych przed wielkością wynalazku, pokorne zgina kolana. Serca niezdolne uczuć wrażenia żalósny muzyki, nie mogą znać prawéy miłości; do szlachetnych i wyniosłych czynów nie posiadają zapału. Oyciec lub matka, nieczuli na muzykę, w synach surowość zaszczepią, i sami żadnéy nie czują pociechy. — Zgoła muzyka, ten tómacz duszy w powszechnéy mowie, iest rozrywką w przyjaznym losie, żywiołem iest równie w nieszczęściu. Czufym będąc przewodnikiem, ro-

zum w niedoli pociechą wspiera, znie-
walaiać, nienawiść z pamięci wytrąca,
nieszczęsnych przyjaznią wiąże, miłość
koiarzy, i często węziem małżeńskim
połącza. Przyjemność muzyki nieokrze-
sane obyczaje udelikatnia, zmienia, pra-
cą znużonych pokrzepia, głębokie za-
myślenia przerywając, często niegodnych
układów pozbawia i próżnujących za-
trudnia. W orszaku swoich zwolenni-
ków wszystkie stany miesza, rozwesela,
a w wesołych pieniach, smutku roz-
rywa więzy. Śmiało wyrzec można, że
bogate i niezgłęzione przyrodzenie zse-
łaiąc z nieba na ziemię tę boską naukę,
uszlachetnić chciało ród ludzki; a łącząc
przyrodzonym pociąganiem harmonią z u-
czuciem, tym tylko doskonale dało u-
czuć skutki słodkiego w duszy panowa-
nia, którzy ścisłym węzłem oboje po-
łączyć umieli. — Chociaż zachwyci
i dziki człowiek zachwyci się na chwile-
kę przyjemną melodyją, i odurzony w
niepojętą zmysłów przechodzi oślepia-
łość; czuły człowiek iednak głosem
śpiwaka zaięty, pomimo podobnego za-
chwycenia, iakie na nieczufym działać
może, wyraz muzyki na dnie duszy czuje,
z nim razem szczytu lubości dosięga,
cały się podaje za każdym zagię-
ciem tonu; z chyłaiącym się głosem,
sam się za nim schyla; nakoniec, iakby
zwalczony wysokim upoieniem melo-
dyjnego śpiwu, pod własne nogi
omdlały upada. — Od tylu wieków ist-
niejąca ta nauka, tak w iednych naro-
dach w dzikości ieszcze dochowana, iak
w drugich zmieniając się rozmaitością
i kształceniem nowożytnych twórców,
nie straciła dotychczas swoiéy wartości
w wygórowanych układach dla znaw-
ców, ani w pierwotnym i nieokrzesa-
nym stanie, dla dzikich. Ale zachwycia-
jącą sprawując przyjemność w każdym
życiowym, często stała się potrzebą, a za-
wsze użytkiem.

Jeżeli szczęśliwy ten, kto czuć iest
zdolny tę słodcz muzykalną, iakże szczę-
śliwszy twórca, z którego pomysłu pody-
nie nieskończenie zdrój niewyczerpanéy

prawdziwéj harmonii. Taki zdolnością swoią wyraźnié umie w tonach odznaczyć smutek od rozkoszy, albo w swoim cieniowaniu głosu tak przyjemnie z iednéj ostateczności w drugą przechodzić, że człowiek swoich dolegliwości na chwile zapomni, i radośném iego piéniem swoię duszę weseli. On naśladowie spokojność w naturze i burzy groźne chwile, szemrze, iak strumyk swywołny, gdy z gór spada po kamkach, i szumi, iak poważna rzeka wielu zwycięstwami wsławiona. — Turkawce naśladowczym glosem odpowiada, i iéy lament iękliwemi rozgłasza tony. On przyjemną melodyją mowę serca tłumaczy; w długich i ciągłych tonach, tęsknotę, płacz i łkanie wydaie; w przestankach głuche nadzieie, lub niemy smutek narzekañ maluje; dziką i trudną harmonią sprzeczności w życiu wystawia; w szybkiém wykonaniu wielkiéy ilości tonów, człowiek zdaie się walkę odprawiać — brzmi, i ięczy razem, iakby tłumny wrzask ucieczki z glosem tryumfu się mieszał, przechodząc z górnych na dólne tony srożyć się zdaie i passować z namiętnościami ludzi, a nakoniec bohater muzykalny wydarfszy się z tych fugowych więzów, gdy wolniéy szybkim pędem nazad do górnych powraca tonów, iakby wzemdlonych siłach trzęsącym glosem zwycięztwo pokonanych trudności ogłasza. — Twórca muzyki dowcipem zbogacony, zdolny iest wszystko naśladować, co tylko w przyrodzeniu melodyją się pieści; ón śpiéwa razem z ptaszęty lubemi, kiedy w poranku cześć Stwórcy oddaia; ón wyda ich smutek, wesołość, miłość i zardzość, co w delikatnych piersiach piéskliwéy ptaszyny się mieści; i tak naydrobniejszego stworzenia śpiéw luby przeniknie, iak równie wydanym rykiem stęsknionéy wolicy pastérza troskliwość do niewinnych stworzeń obudzi. Uczy się twórca przypodobać ludzióm, a potém ich samych wykształconym wynalazkiem naucza. Nad śpiéwem iednych stworzeń się unosi, dru-

gich dzikość tą mową powszechną ko-rzy. Wynagradza rozumem i pracą, co z natury powziął, i wdzięcznością swoią czułe uposaża serca. —

Komu natura nieprzyjazna odmówiła słuchu, lub go nieznanwą na rozdźwięk tonów zdziałała, kto nakoniec smaku w muzyce nie czuie, i dla zwo-dniczego ukontentowania próżnych namiętności, muzyki się wyrzeka, temu podwoie świątyni ziemskiego wesela na zawsze zamknięte zostały.

P o e t a.

(przez J. N. R.)

To mi Poeta, wieszcz nad wszystkie wieszczce,
Jakiego Polska nie ma dotąd ieszcze!
Przez całą wiosnę, zbiera górne myśli,
Latem ie składa, na papierze kręli;
W iesieni głodzi, piéści, doskonali....
Coż w zimie robi? w piecu niemi pali.

Blondyn z Namiur.

(*Ciąg dalszy.*)

Nieszczęście.

Wkrótce zapomniał o ziawisku, ale Pani le Blond nie zapomniała o Pannie Palet. Można się iednak do wszystkiego przyzwyczaić. Blondynek słu-chał codzinnie o ziawisku z Panną Paulet, i codziennie powtarzał: Nie. Tak upłynął rok, a potém zdarzyło się inne nieszczęście.

Ludwik XIV. Król Francuzki z woyskami swoimi wyruszył sam w r. 1692 pod Namiur, i za pomocą kilku cetnarów prochu zniweczył wszystkie ślubne plany Pani le Blond. Po ośmiudniowym oblężeniu, zdobył miasto, a po dwudziestu dwoch dniach, zamek. Na odgłos iego wielkości, taki wszystkich mieszkanców opanował przestach, że drzeli iak liście, a Pani le Blond ze strachu zaszła, i wkrótce umarła.

Blondynek był wprawdzie Królowi Francuzkiemu bardzo wdzięczny za to, że z woyskiem raczył się wdać do zerwania iego małżeństwa, czuł iednak mocno stratę matki. Dobra kobiécina zostawiła mu większy daleko ma-

iątek, aniżeli się spodziewał. Bez iego wiedzy oszczędziła kilka pięknych waznych rulonów złota, które właśnie wystarczyły Blondynkowi na przyprowadzenie do skutku dawnego przedsięwzięcia, to jest, rozszerzenia swojego sklepu, i przeniesienia go na znacznie szerszą ulicę. Jakoż nie minął miesiąc, gdy Blondynek wyprowadził się ze swego małego sklepiku, i najął skład wielki, ozdobny, na najpiękniejszą ulicę, i do handlu swego dotąd tylko bawefnianego, przydał iedwabny i galanteryy. Jego znajomi i znajome, i tam go znaleźli.

W nowém pomieszkaniu i to go nie mało cieszyło, że miał w tyle ogródek, bo kochał się w kwiatach. Ten ogródek z lewéj strony, z prawéj i z tyłu, przytykał do inszych ogrodów, oddzielonych tylko od siebie żywym płotem. Tak zdawać się mogły wszystkie ogródki iednym wspólnym ogrodem. W ogrodku Blondyna, była altana iasminem

obsadzona. Tam postanowił przepędzać najpiękniejsze godziny życia, i uczyć się ięzyka włoskiego, ażeby mógł później równie z innemi kupcami Flandryi, pisać do Włoch po towary. Właściciel pięknego domu, którego dół najął nasz Blondyn, był znakomitym urzędnikiem, i zatrudniony obowiązkami urzędu, nie pytał się wcale o swojego komornika.

Handel szedł przecudownie. Znajome Blondyna nie zostawiały mu chwili wolnego czasu, zawsze miały coś w sklepie do oglądania, do targowania, do kupowania. Blondyn był codziem piękniejszy, a obywatelki miasta Namiur utrzymywały, iż iego skład jest najlepszy i naytańszy w całym mieście.

Nie tak dobrze szło z nauką ięzyka włoskiego. Nie było nauczyciela Włocha w całym Namiur, samemu uczyć się było trudno, gdy w tém nauce iego niespodziana przeszkoda, na drodze stanęła. — (Dalszy ciąg nastąpi.)

Z Odessy. — Właśnie co tylko dniało, gdyśmy opuścili Tulczyn i iego czarujący ogród. Droga ciągnęła się odmienną koleją, to przez zasiane niwy, to przez widne gąki; ponure sosnowe lasy dawno już zostały się za nami. Pierwsze promienie słońca wdierały się przyjemnie przez zielone laszere, niebo było wypogodzone, droga szeroka, a konie leciały z pocięchem. Podobaj poranek w podróży, ohadza nayweselsze myśli, zapomina się o przeszłości, przyszłość nie nabawia niepokojem, i owszem czuimy wdzięki terażniejszości i iey powabne odmiany. — Minie każdy kraj interesuje; to prawda, że kraj bogatą uposażony przeszłością i mnogiem opatrzony zaludnieniem, nawet w mniejszym obwodzie więcej podróżniacemu nastęrcza przedmiotów godnych uwagi; w kraju zaś mniej saludnym i zabudowanym przedcy odbywa się podróż, a przeto pośpieszniejszy następują po sobie przedmioty, iednakże uwaga nie wiele mniej jest zaprzatniona.

Tym sposobem przebiegłem szerokie i równe niziny Podola, uważny na kraiu powierchowny widok, na rozday i obycaje mieszańców. Wiesniak mowi tu dyalektem zbliżającym się do mało-rossyjskiego, i należy do greckiego kościoła unickiego. — Jest rosły, pleczysty i śmiały ma rysy twarzy; wyraz ten fizioznomii wspiera ciało silnie zbudowane. Kobiety nie są piękne, ale młode dziewczęta mają wiele powabu przez wysmakłość kibici i owalną formę twarzy. Wsie leżą w pobliskości od siebie, i mają ponaywiększą częścią czystą powierchowność. Wiesniak stawia chatę swoię z gliny, której mu tłuśta ziemia wszędzie dostarcza, i często dwa razy do roku obiera ją wapaem, przesto zyskają wsię na świe-

żym, czystym widoku, i przyjemnie rozłożone są pomiędzy drzewami owocowemi, których łagodac niebo dostarcza.

Tymczasem, gdy te moje małe uwagi czyniłem o Podolu, i wesolo patrzyłem się na obraz wycieczony, dzielne pocztowe konie coraz mnie dalej unosily. Odstacyi Zabokrzyckiey las co raz bardziej zaczynał się rozwidniać, i zginął zupełnie, nimesmy do Czajłanik przybyli. Jestto miasteczko z okazałemi pańskimi budynkami, i należy teraz do Marszałka polnego, Hrabiego Gudowicza. Leży w przyjemnym położeniu pomiędzy nadobnemi wzgórkami, na których dziedzie winnice pozakładał. Okilka wiosek dalej było miasto Olgiopol, gdzie nowe konie przepęgaia. Odtąd zaczyna kraj międ do stepów podobne weyrażenie, to jest: zupełnie już lasów nie widać, tylko tu i ówdzie małe wyrastaia krzaczki, lecz i te giną już z tamtéj strony Bałty. Stacya pocztowa jest wniaciakiey odległości na wzgórz, z kąd poglądać można na miasto bardzo nędzne w dole rozpostarte. Domy są niskie, i leżą porozrzucane. Czasami tylko wznosi się małowniczo ciemnozielona włoska topola, i tym okolicom nadaie już charakter kraiu południowych.

Nareszcie zrobiło się południe, słońce moeno dopiekało, skryliśmy się pod zacięń pocztowego domu; do naszego małego i prawie już wypotrzebowanego zapasu przyniosł nam żyd złego wina włoskiego, na zaletę naswał i francuzkiem, za co sobie drogę zapłacił hazard. Wszystko to wszelako nie przerywało wesolości panującej w ciągu naszego śniadania, i zaledwo żadaliśmy tego, ażeby tak predko zaprzężono konie, iak się to w samey istocie stało. (Dalszy ciąg nast.)